

665 Tremę mam ciągle

Rozmowa z Krystyną JANDĄ

— Shirley Valentine, wspólnie przez panią kreowana, wypowiada w pewnym momencie słowa: „po czterdzieste człowiek stale ma wrażenie, że wszystko już było, nie go nie rajcuje”. Czy podziela pani ten pogląd?

— Nie. Nigdy tak nie myślałam. Zresztą Shirley też stwierdza tylko, że „ludzie tak mówią”.

— Podobno zadebiutuje pani wkrótce jako reżyser.

— W moim teatrze chcemy zrobić „Na szkle malowane”. Był problem z reżyserem. Zdecydowano, że skoro ja mam na to ochotę i moim pomysłem jest wystawienie tej sztuki, mogę spektakl wyreżyserować. Jestem przerażona, jednocześnie ciekawa co z tego wyniknie. Ernest Bryll jest moim serdecznym przyjacielem. Spektakl, który osiemnaście lat temu grany był w Teatrze Polskim, poszedł 1.500 razy, co dobrze rokuje również dzisiaj.

— Często słyszałam, że Wajda ukształtował panią jako człowieka. Czy nadal jest dla pani reżyserem numer jeden?

— Oczywiście. Niestety, Andrzej ostatnio niewiele robi, a jeśli coś robi, to nie ma tam ważnej roli dla mnie. Także, niestety, długo nie spotykaliśmy się na planie filmowym, ale przygotowujemy się w tej chwili do trzeciej części „Człowieka”. Scenariusz napisał ktoś bardzo młody. Jest to scenariusz, który nam się podoba. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, jeżeli to „będzie po

drodze” Wajdzie, to zrobimy ten film.

— O jakim okresie będzie opowiadał?

— O obecnym. Sprawa dotyczy oczywiście teczek.

— Kiedyś powiedziała pani, że polscy dziennikarze odbierają Krystynę Jandę nieco histerycznie — albo z wielkim entuzjazmem, albo bardzo negatywnie. Dziennikarze zachodni zdecydowanie poważniej. Czy tak jest nadal?

— Nie wiem. Ostatnio chyba w ogóle przestałam zwracać uwagę na to, co sądzą dziennikarze. Najważniejsza jest publiczność.

— „Jeśli nie wypiję herbaty z bufetową, nie porozmawiam o czymś zwyczajnym — wychodzę na scenę pełna lęku”. Czy naprawdę zawsze ma pani tremę?

— Zagrany w Poznaniu, pierwszy spektakl po tygodniowej przerwie, był dla mnie ogromnym przeżyciem. Dawno tak się nie denerwowałam. Może dlatego, że mój mąż był na widowni i widział „Shirley”, chyba po pięciu latach. Tremę mam ciągle i jest to uczucie całkowicie ode mnie niezależne.

— Mąż tak rzadko ogląda panią w teatrze?

— Mąż nie chodzi na moje spektakle. Trudno wymagać od mężczyzny by to robił. Ma mnie przecież bez przerwy w domu.

— „Bezpieczny dom zawsze udawało mi się stworzyć” — to

pani stwierdzenie mocno zastanowiło mnie, kobietę-dziennikarkę. Aktywność zawodowa często kłóci się z „domowym ogniskiem”.

— Czy zawsze mi się udawało? Myślę, że jednak nie, że wielki wysiłek wkładałam w to, by dom jakby zorganizować. Ostatnio stało się to o wiele prostsze. Wprawdzie mam dwoje małych dzieci, ale trzy lata temu zamieszkali ze mną rodzice. Było to właściwie jedyne wyjście z sytuacji. Najgorszy był okres, kiedy sama, przy pomocy gospośki, wychowywałam tak długo moją pierwszą córkę. Od momentu pojawienia się rodziców życie znów usłane jest różami. Mama załatwia wiele spraw, które wcześniej powodowały, że od rana do wieczora miałam ból brzucha i dzwoniłam co dwadzieścia minut do domu. Teraz wiem, że są, że martwią się o dom, martwią się o mnie. Gdy przyjeżdżam w nocy po spektaklu ojciec krzyczy, że za późno wracam, co jest po prostu słodkie. Nagle po latach ojciec znowu czeka i nie pomaga tłumaczenie, że wracam z pracy. To mnie naprawdę wzrusza i jest mi z tym dobrze.

— Dorota Stalińska wspominała, że zamierzacie wspólnie stworzyć szkołę dla przyszłych aktorów.

— To był taki wakacyjny pomysł, kiedy przez moment nic nie robiłyśmy i nagle wydało nam się, że mamy mnóstwo czasu. Teraz obie jesteśmy mocno zajęte i patrzymy



Fot. Marek Woźniak

Przebywając na zaproszenie „Gazety Nowej” i Teatru Lubuskiego w Zielonej Górze Krystyna Janda przyjęła zaproszenie i spotkała się na obiedzie z przedstawicielami Redakcji. W spotkaniu udział wzięli: m.in. Jan Tomaszewicz — dyrektor Teatru Lubuskiego w Zielonej Górze, Barbara Kuraszkiwicz-Machniak — dziennikarz „GN”, Andrzej Buck — redaktor naczelny „GN”, Marek Woźniak — fotoreporter „GN”.

na siebie z przerażeniem, że któraś będzie ów pomysł realizować.

— Czy jest coś, czego się pani obawia?

— Bardzo wielu rzeczy. Przede wszystkim choroby moich dzieci. Cały czas mam uczucie, że może się coś takiego stać, z czym nie będę mogła sobie poradzić. A moim zdaniem jedynym „czymś takim” może być choroba, czy nieszczęśliwy przypadek, wobec którego stanę bezradna.

— A w życiu zawodowym?

— To w ogóle nie ma żadnego znaczenia. Nie warto się nad tym zastanawiać. Po prostu robię to, co przynosi mi los. Gram co wieczór najlepiej jak umiem. Jakie to przynosi rezultaty? Różnie to bywa. Są wzloty, są gorsze momenty. Nie jestem jednak osobą histeryczną,

nie uprawiam mego zawodu z jakąś egzaltacją, po prostu bardzo rytmicznie, regularnie i równo pracuję.

— Opowiadała pani wielokrotnie, że do szkoły teatralnej trafiła przypadkiem, początkowo jako „goryl” zdającej egzamin koleżanki. Od razu zrobiła pani tam awanturę, co świadczy o dużej spontaniczności.

— To było dawno. Dzisiaj nie robię już rzeczy, na które nie mam ochoty, rzeczy nieprzemyślanych. Mineło osiemnaście lat i nie ma miejsca na improwizację. Uważam się za profesjonalistkę, osobę, która dokładnie wie dlaczego coś robi, dlaczego z tym, a nie z innym. Cudowny okres beztroski minął.

— Czy był moment, w którym poczuła pani klęskę?

— O, wiele momentów. Uważam, że jedyną dobrze zagrana rolę jest rola w „Przesłuchaniu”. Reszta to po prostu same pomyłki. Naprawdę — role głęboko niedoskonałe. Są dobre elementy, pomysły, niektóre sceny są dobre, ale jako całość... Zadowolona jestem tylko z „Przesłuchania”.

— Najbliższe plany?
— Próby „Męża i żony” u mnie w teatrze. Janusz Gajos ma grać męża. Zaczynają się 1 maja, a premiera 1 czerwca. W tym czasie reżyserować będę „Na szkle malowane”, czekają mnie więc dość skomplikowane miesiące. Wspominałam o filmie z Andrzejem Wajdą, który ewentualnie kręcony będzie podczas wakacji. Jesienią prawdopodobnie nowy film z Krzystkiem.

Barbara
KURASZKIEWICZ-
MACHNIAK